



## Stanisława Roztropowicz-Szkubel

część I z III

Sygnatura notacji: **N1245**  
Data urodzenia: **25.01.1927 r.**  
Data nagrania: **11.04.2018 r.**  
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**  
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**  
Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 42 min, część III: 29 min**  
Format nagrania: **video**  
Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Tomasz Sikorski: Spotkaliśmy się panią Stanisławą Roztropowicz-Szkubel, odznaczoną medalem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.**

**Stanisława Roztropowicz-Szkubel:** Urodziłam się w dwudziestym siódmym roku, na Wołyniu. Na Wołyniu mieszkaliśmy od dwudziestego piątego roku, 1925 roku, a przedtem moi rodzice I wojnę światową i Rewolucję Październikową przeżyli na Ukrainie i w dwudziestym piątym roku mój ojciec, wtedy z mamą, młode małżeństwo, jedno dziecko, moja najstarsza siostra wtedy już miała dwa latka, zdecydowali, że dłużej nie da się żyć w tamtym ustroju i postanowili uciekać. Z Ukrainy, przez granicę zieloną, dostać się do Polski. To chyba znane są prawa, jakie wtedy obowiązywały, że był bardzo krótki okres, po rewolucji, kiedy można było oficjalnie wyjeżdżać, ale to tylko niewielka ilość, procent ludności polskiej skorzystało z tego. Dlatego że wtedy, w tamtych czasach, komunikacja była bardzo, że tak powiem, trudna. Ani telefonów, ani radia, ani nic. Tak że kto zdążył, no to wyjechał, a reszta pozostałych Polaków, chcących nawet wyjechać do Polski, pozostało bez możliwości. Jedyną możliwość to było na własną rękę organizować, nieoficjalnie, wyjazd i przekroczenie zielonej granicy, po prostu pomiędzy Związkiem Radzieckim a Polską. I rodzice zdecydowali się na to w dwudziestym piątym roku, na wiosnę. Mieszkali wtedy w obłast winniczej, więc musieli dojechać do Kijowa. Z Kijowa w pobliżu, możliwie blisko granicy i dalej, z umówionym przewodnikiem, który doprowadził do granicy. I dalej rodzice z małym dzieckiem przekroczyli tę, szczęśliwie przekroczyli tę granicę i zamieszkali na Wołyniu. No, przyjechali do Polski, no właściwie z niczym, z małym dzieckiem tylko. Tak że zaczęli organizować życie, nowe życie w Polsce. Ojciec był z zamiłowania, miał wykształcenie techniczne, ale z zamiłowania był rolnikiem. Więc dzierżawił gospodarstwa. I taka sytuacja, rok trzydziesty dziewięty zastał nas, ojciec wtedy

dzierżawił wojskową działkę, dwadzieścia hektarów i tam mieszkaliśmy, i tak doczekaliśmy się wojny. To, co pamiętam z okresu przedwojennego, to właściwie wydawało się, że wszystko, że tak powiem, układa się dobrze i żadnych zatargów nie było widać. Oczywiście, tak jak mówię, widziane to oczami dziecka. Pamiętam taki obrazek z mojej szkoły powszechnej w Radziwiłłowie, do Radziwiłłowa chodziłam do tej szkoły. To było cztery kilometry od tego miejsca, gdzie mieszkaliśmy. To był może maj, może początek czerwca, przed końcem roku szkolnego. Nasz budynek szkolny, tam były dwa, w Radziwiłłowie dwa budynki. Jeden murowany, a drugi drewniany. I ten murowany miał duże schody, wydawało mi się, że duże schody wejściowe do budynku. I pamiętam, duża przerwa, dzieci wybiegają na boisko, hałas, zabawy, a na ganku przed wejściem do, głównym wejściem do budynku stoi ksiądz katolicki, batuszka prawosławny i rabin żydowski. I tak to było zorganizowane, rozkład lekcji tak był opracowany, że religia odbywała się o jednej godzinie we wszystkich wyznaniach. I wtedy nasza społeczność dziecięca, która, wydawało się, tworzy zgraną grupę w klasie, rozpadała się na części, Żydów, Rusinów, wtedy nie mówiło się Ukraińcy, mówiło się Rusini i Polacy. Każdy szedł do klasy ze swoim wykładowcą religii. Kończyła się religia, wracaliśmy do swojej klasy, jedna grupa, żadnych, że tak powiem zatargów pomiędzy dziećmi nie było, zgrana grupa młodzieży. Ale chyba jednak, to znaczy prawie na pewno, było to drugie życie, którego ja jako dziecko wtedy nie dostrzegałam, a nawet moi rodzice nie bardzo pewnych zjawisk rozumieli. I tutaj chciałam przytoczyć, bo wydają mi się dwa takie obrazki, które zapamiętałam. Charakteryzowały sytuację, jaka wtedy się wytworzyła, jaka była u nas wtedy. Mama kiedyś wróciła z miasteczka, to cztery kilometry, załatwiając rozmaite sprawunki, sprzedając tam masło, coś tam, co tam miała do sprzedania. I po powrocie z miasta, a mama miała takie zdolności oratorskie, umiała opowiadać. I ktoś inny mógłby powiedzieć, że nic się nie działo, nic ciekawego nie było, a mama zawsze miała dużo szczegółów do opowie... Co widziała, kto, co powiedział, co się działo, co zauważyła. I raz wróciła właśnie z tego Radziwiłłowa i siedzieliśmy, ojciec wtedy przychodził na ten powrót mamy z miasteczka, bo normalnie to cały dzień pracował na roli. Zapalił papierosa i mama zaczęła opowiadać, i mówi, że: „Wiesz co? Coś widziałam takiego, czego nie mogłam zrozumieć”. Bo w Radziwiłłowie była szkoła polska. Mieliśmy tylko język ukraiński obowiązkowy. Tak że jak rodzice nie chcieli, żebyśmy korzystali z nauki ukraińskiego języka, to musieliśmy napisać podanie do szkoły o zwolnienie z nauki języka ukraińskiego. A chodziło o to, że mieliśmy, do szkoły mieliśmy cztery kilometry. No więc ja zaczęłam tam chodzić do, bo pierwszą i drugą klasę mama uczyła w domu, bo była z wykształcenia nauczycielka, a do trzeciej już poszłam do szkoły. No, ale to cztery kilometry, małe dziecko cztery kilometry w jedną stronę, każdego dnia i cztery kilometry z powrotem. Więc mama, więc była szkoła tylko polska z językiem ukraińskim jako przedmiot. I była szkoła żydowska. Bo Radziwiłłów miał wtedy około pięciu tysięcy obywateli, w tym siedemdziesiąt pięć procent Żydów. I mama właśnie opowiada, że zauważyła i widziała, jak nauczyciele z tej szkoły żydowskiej prowadzili grupę tak jak zawsze dzieci wtedy chodziły, w dwójki, w czwórki, parami. Mama powiedziała, że nie widziała, dokąd oni prowadzili tę grupę, tej młodzieży, ale wszystkie dziewczynki były w czerwonych sukienkach, a chłopcy mieli czerwone bluzki. I mama mówi, to musiało być gdzieś w okolicy, na początku maja. Wtedy o 1 maja, chyba, w każdym bądź razie w naszym domu nigdy żadnej wzmianki nie było, ani się nie obchodziło, ale widocznie takie te, no zapartywania komunistyczne, gdzieś tam tkwiły, ujawniały się i to właśnie tak, manifest taki, że właśnie na czerwono młodzież była prowadzona gdzieś tam. A drugie, taki obrazek znowuż mówiący o pewnej sytuacji, która wtedy istniała i o uświada... o świadomości społecznej ówczesnego społeczeństwa, społeczności Rusinów, Ukraińców. To był sposób powitania, w jednej z wsi, wkraczającego wojska Armii Czerwonej. Mianowicie, zbudowali bramę powitalną i z napisem u góry: „Christos Woskresie, Chrystus Pan Zmartwychwstał”. No więc, cieszyli się, że przyszło wyzwole-

nie, ale nie zdawali sobie sprawy, że akurat ci co przyszedli, zlikwidują cerkiew prawosławną i wykreślona będzie z życia społeczności. Tak że to i jeszcze jeden taki moment. To dokładnie już pamiętam. Po 17 września, nie wiem, to mógł być, no kilka dni po siedemnastym, bo od granicy Radziwiłłów, od granicy do Szepietówki nie było tak daleko. Więc, a Armia Czerwona szybko dotarła do Radziwiłłowa i wkrótce po tym, no w sumie na początku nic się nie działo, szkoła została otwarta. I ja też zaczęłam chodzić do tej, wróciłam do swojej szkoły. I jedna z nauczycielek, pani, to pamiętam jej nazwiska, nie pamiętam imienia, pani Ryżewska. To była młoda kobieta, zupełnie młoda. Pamiętam no, bardzo zawsze elegancko ubrana. Można powiedzieć, że ładna dziewczyna, bo zupełnie młoda była. Pięknie mówiła po polsku. Ja nie miałam pojęcia, że to jest Ukrainka. I ona, jak już, byliśmy już w klasie, zostałam wezwana do jakiejś odpowiedzi, przez panią Ryżewską. Z tym że ona natychmiast zaczęła mówić tylko i wyłącznie po ukraińsku. Ja ukraiński znałam dlatego, że no mieliśmy dziewczynę i chłopaka, do pomocy rodzicom w gospodarstwie, Ukraińców. I jak, i ona wezwała mnie, i o coś zapytała. Ja dokładnie czuję ten moment, kiedy wstałam, chciałam coś powiedzieć, ale nie mogłam się odezwać, bo ona do mnie się zwróciła nie po polsku, a po ukraińsku. I ona wtedy do mnie podeszła i tak pogłaskała po głowie, i już nic nie powiedziała. I na tym się sprawa skończyła. No i później okazało się, że była aktywną, aktywnie brała udział w ruchu upowskim, banderowskim. Tak że to pamiętam, oficjalnie w szkole było wszystko w porządku, nie było żadnych zdrażeń, nic, ale jednak to podział tego, społeczności... Jeszcze powiem taką rzecz, bo rodzice byli aktywni, więc było koło gospodyń wiejskich, mama była prezeską, potem nawet była we władzach powiatowych, a ojciec był prezesem kół, koło gospodyń i kółko rolnicze, męska organizacja. Mama, pamiętam, usiłowała nawiązać kontakt z gospodyniami z sąsiednich wsi, ale nigdy nie udało się zachęcić którąkolwiek do tego, żeby przyłączyła się do tej działalności, koła gospodyń wiejskich. A ta działalność i kółka rolnicze, i koła gospodyń wiejskich, no była, powiedziałabym, bardzo dobrze postawiona i tak, no. Koło gospodyń wiejskich organizowało rozmaite takie szkolenia, a to prowadzenie ogrodu, a to jakieś nowe warzywa, a to jak zbliżała się jesień, to były przetwory, a zbliżał się okres świąteczny, więc były kursy pieczenia, czyli, ale nigdy nie udało się namówić którąkolwiek z Ukrainek, żeby przyłączyła się do pracy w kole gospodyń wiejskich. Czyli to były takie sygnały mówiące o tym, że coś jest nie w porządku. No i przyszedł wrzesień, trzydziesty dziewiąty rok, też dobrze pamiętam. 1 wrzesień właściwie pierwszy, że wrzesień, radia u nas wtedy nie było, bo radio takie, odbiornik to było luksusem. Ojciec nie miał, miał tylko takie słuchawkowe radyjka, małe na słuchawki. I pamiętam, zawsze o pierwszej, nie wiem, dlaczego o pierwszej, był jakiś dziennik i ojciec przerywał pracę na chwilę, zawsze słuchał tego. I 1 września po wysłuchaniu, zwołał nas wszystkich, znaczy czwórka dzieci, rodzice i powiedział, że Niemcy napadli na Polskę. Rozpoczęła się wojna. No mama przeżegnała się, prosiła Boga o to, żeby opiekował się i zaczęło się. No i 17 września wkroczyła Armia Czerwona i natychmiast oczywiście powstały nowe organizacje, odpowiedzialne za wszystko. Ale zaczęło się od tego, że oczywiście już od przygotowywania do komitetów, które przygotowywały deportację, po listy deportowanych na Syberię i całe te historie. I stało się tak, że my na przykład, od razu nasza rodzina, od razu została zaliczona do kategorii kułaka. Ale to jest właśnie, bo Polak. Ale w naszej, tam wtedy na Wołyniu, były gospodarstwa chłopskie, znaczy Rusinów. Rozmaite były, były małe, ale i było dużo dobrze postawionych. To ci nie liczyli się kułakami. A Polacy to oczywiście od razu była ta klasa kułaków. I też to utkwilo, jak to przeżycie takie, dla dziecka. Pamiętam ten dzień, jak było rozkułaczenie naszego gospodarstwa. To było w ten sposób, że duży pokój, komisja z Radziwiłłowa, komisarz i miejscowi, no przeważnie Żydzi, mniej Ukraińców, ale Żydzi aktywnie uczestniczyli. A jeszcze może dodam, że społeczność żydowska na przykład w Radziwiłłowie to od razu jak przyszedli Sowieci, to, no, rozpadła się na dwie części. Byli burżuje, czyli bogaci Żydzi i ci byli traktowani tak jak Polacy, czyli

wywożeni, deportacje, aresztowania. I to pospólstwo, które aktywnie przyłączyło się do udziału w nowoorganizowanej administracji. No i przyjechała komisja do nas, tak z jednej strony tego pokoju rodzice, my, i cała ten, cała ta komisja. I oczywiście ze wsi, z gminy, tam gdzie należeliśmy do tego sołectwa, do którego należeliśmy, dużo ludzi, to głównie to byli biedniacy. Więc komu, co. Krowy, proszę bardzo, kto chce, no to ten. Została jedna, dla nas jedna, sprawiedliwie. Jedna krowa została. To samo no, trzoda chlewna. Proszę bardzo, jak, a konie, co i tak. A na polach, co jest, no żyto, pszenica, kartofle, coś tam. Pamiętam, że mak był, komu, ile. Sprawiedliwie ojcu wydzielili cztery hektary. Jednak wydzielili, czyli sprawiedliwość była, a reszta została oddana biedniakom. No i tak się zaczęło, takie życie się rozpoczęło. A to jest, ten czas od 17 września, na Wołyniu, czyli od wkroczenia Armii Czerwonej, no do 1 czerwca czterdziestego, do 20 czerwca czterdziestego pierwszego roku, no to było, nie będziemy to, bo to jest zupełnie inna sprawa, no był bardzo ciężki. Bardzo, bardzo ciężki czas. Tak że to też pamiętam, że jak, o tym, że będzie wojna, czy już coś zapowiadało, że czy będzie wojna niemiecka, niemiecko-sowiecka, to to wszystko dosyć, tak jakoś nagle wypadło. Ale jakieś wiadomości w społeczności rozchodziły się. Tylko to wtedy wszystko to działała poczta pantoflowa. Gdzieś, ktoś był, coś przeczytał, ktoś pojechał, coś widział, coś powtórzył. I tak to się rozchodziły te wiadomości. I jak właśnie była to, że być może, że kończy się okupacja sowiecka, że przyjdą Niemcy, dokładnie pamiętam, ja też tak myślałam. Może będzie lepiej, bo teraz już trudno wytrzymać. Z rodziny, mężczyźni w rodzinie, kilku mężczyzn było aresztowanych. Ktoś nie przeżył. Ktoś w więzieniu zginął w ogóle bez wieści. I takie no, ciężkie, ciężkie czasy. No, trudno już wytrzymać. Jak przyjdą Niemcy, może będzie lepiej. No i zaczęło się. Przyszli Niemcy, zaczęli od... wiadomo, swoje prawa ustalać. Siostra szybko została wywieziona do Niemiec. I to już też, a my nie zostaliśmy deportowani na Syberię, dlatego że ojciec nie był właścicielem gospodarstwa. No więc niby nie było, oficjalnie nie było, nie był wrogiem. Ale jak trzeba było właśnie typować młodzież do pracy, do wywożenia do Niemiec do pracy, no więc najstarsza nasza siostra od razu w pierwszym, była na pierwszych listach wytypowana do tego, że ma jechać do, i tak się stało. To i oczywiście od razu było organizowane getto żydowskie. To getto żydowskie, Żydzi chyba jednak pojęcia nie mieli, wtedy jeszcze nie mieli, nie było wiadomo, co się będzie działo. Nie było żadnych... I pamiętam, moja siostra miała koleżankę, Żydówkę, a przyjaźniły się dlatego, że obie bardzo lubiły wycieczki rowerowe. I mojej siostrze rower się zepsuł, i potrzebna była jakaś tam część, i ta koleżanka Żydówka powiedziała: „Słuchaj, chodź pójdziemy do naszego...”. A już była w getcie, czyli wysiedlona. Nie to, opuścili swój dom, a byli w getcie. „Wrócimy do naszego domu, bo ja wiem, że u nas tam było. To może znajdziemy tę część”. I opowiadała, że: „No kazali się przenieść, no to wyprowadziliśmy się. No tak jest, trochę ciasno nam teraz, ale no tak jest”. To był początek czterdziestego drugiego roku. A likwidacja getta miała miejsce, to pewnie koniec maja albo początek czerwca czterdziestego drugiego roku. I w tym getcie między innymi była właśnie rodzina tej naszej Inki. Ona z domu Kagan. Młode małżeństwo, pierwsze dziecko. Inka wtedy miała dziewięć miesięcy. I oni w kontakcie wiem, że ksiądz Brodecki, ksiądz naszego, katolicki ksiądz. Był takim człowiekiem, no powiedziałabym, takiego społecznego zaufania. Wiem, że no już wtedy Żydom nie miał kto pomagać, tak nawiasem mówiąc. W każdym bądź razie cerkiew prawosławna nie wtrącała się do tego zupełnie. Zresztą była już zgnębiona po władzy sowieckiej. Więc ksiądz katolicki, wiem, że pomagał znaleźć kogoś, kto by się podjął przechowania tej młodej rodziny, młodego małżeństwa z dzieckiem. I znaleźli tę rodzinę. To było kilkanaście kilometrów od Radziwiłłowa. Samotne gospodarstwo, nie osadników wojskowych, bo inaczej on byłby wywieziony, no tak, ale nie na wsi, nie w wiosce, tylko rozrzucone takie gospodarstwa. I oni przyjęli to młode małżeństwo, z tym dzieckiem. To był rok czterdziesty drugi, powiedzmy, czerwiec. A w czterdziestym, a ruchy ukraińskie UPA, konkretnie w Radziwiłłowie, miało początek, był, to był październik albo listopad

czterdziestego drugiego roku. Zaczęło się w ten sposób, że milicja, no bo Sowieci zorganizowali, i potem Niemcy zorganizowali policję, Ukraińcy oczywiście byli członkami, tymi policjantami. Milicja wtedy się nazywało. Milicja, w pełnym uzbrojeniu, z amunicją, uciekła do lasu, przyłączając się do UPA, Ukraińskiej Armii Powstańczej. I już jesienią, późną jesienią czterdziestego drugiego roku zaczęły się jeszcze nie morderstwa, ale na przykład prowokacje jakieś. Psucie linii telefonicznych, odcinanie, jakieś tam, takie antyrządowe, antysowieckie, antyniemieckie. I właśnie taka prowokacja była w naszej, we wsi, do której należało to gospodarstwo, gdzie wtedy byliśmy. I Niemcy oczywiście, zjawiała się na wsi ekipa realizująca, przeciwdziałająca tej prowokacji. I zażądali zakładników. Już nie pamiętam, kilkudziesięciu zakładników. I hława, czyli no sołtys, na liście umieścić niedobitki Polaków, którzy jeszcze zostali po rządach sowieckich, na tej liście do aresztowania. I między innymi był ojciec. I pamiętam, przyjechali, a już było wiadomo, w jaki sposób odbywają się napady jednostek UPA na domy polskie. Mianowicie, tak opowiadali, że zjawiała się milicja, otaczała dom, zawsze przedstawiali się, że milicja, no i zaczynały się rozprawy. I późna, bo już była ciemna noc, stukanie do naszego domu. To był, już był śnieg, w każdym bądź razie wczesna zima. Ale to musiał być nie grudzień jeszcze, ale listopad, późny listopad. Stukanie do drzwi. No więc ojciec podchodzi, pyta kto. „Milicja”. I pamiętam ten moment, bo to takie przeżycia, to pozostają na zawsze. Ojciec otworzył drzwi i stanął w tych drzwiach w pełni uzbrojony mężczyzna, i odwrócił się do tyłu, i krzyknął po ukraińsku: Chłopcy, zachodcie. Chłopcy, chodźcie. A w tym czasie mama krzyknęła: „Dzieci, uciekajcie!”. A był dom już przygotowany, mieliśmy drogę ucieczki, jak małe dzieci. Siostra złapała za rękę młodszego brata, a ja zostałam w domu, przy mamie zostałam. I pamiętam ten moment, jak my stoimy, ojciec, mama i ja koło mamy, a z drugiej strony ci mężczyźni, uzbrojeni po zęby. Ale ten ich przywódca podszedł do mamy i powiedział, bo zorientował się, jaka jest sytuacja i powiedział do mamy, okazał no ludzkie serce, i powiedział: „Pani, my naprawdę jesteśmy milicją”. Czyli wiedział, czego się obawiamy, co tego. I ojca wyprowadzono. I powiedzieli, że jest aresztowany, no bo zakładnik, za tę historię, za tę prowokację, która była. Z tym że zamiast jechać w kierunku miasteczka, pojechali w kierunku lasu. No więc znowuż tak powiedział, że milicja, ale naprawdę to odczucie było i obawa, że to jest zupełnie inna sytuacja. Ale okazuje się, że wtedy pojechali właśnie rzeczywiście do lasu, bo tam jeszcze był leśniczy, Polak. To jeszcze jego zabrali i wszystkich, pojechali, zabrali potem do Radziwiłłowa. Historia skończyła się tym, że na początku stycznia już było wiadomo, że będzie, i cały czas ich trzymali w miejscowym więzieniu, areszcie, w piwnicach. Był pod budynkiem milicyjnym, było to więzienie. Boże Narodzenie z ojcem, ja i siostra, poszliśmy w dniu Wigilii zobaczyć się, no więc na tyle było, że tak powiem, pełne zrozumienie, bo przez małe okienko od suteryny do pomieszczenia, gdzie byli oni trzymani, ja i siostra przy pomocy któregoś z oficjalnych policjantów wtedy, pomogli nam zejść, ja i siostra weszliśmy do tego pomieszczenia, złożyliśmy życzenia ojcu. I skończyła się na początku stycznia, był koniec całej tej sprawy. Wiadomo było, że to zbliża się wyrok i my, nas troje młodszych, bo siostry już nie było, zostaliśmy w domu. Mama poszła do Radziwiłłowa, wysłuchać tego wyroku. I przed miasteczkiem, były takie nieużytki, to się nazywało Piaski, Górki, zauważyła kopanie dołu. Więźniów ustawiono w jeden szereg, kazano odliczać. I później rozkaz, już nie pamiętam, czy parzyste, czy nieparzyste, wystąp. I ojciec był w tej grupie, która miała wystąpić. I tę grupę wypuszczono. Tak że pamiętam ten moment, jak my troje wypatrywaliśmy cały czas w kierunku drogi, która prowadziła od miasteczka, czy idzie mama sama, czy może z ojcem. I zobaczyliśmy, z daleka zobaczyliśmy dwie sylwetki. No więc pamiętam to ogromne uczucie ulgi, że no i tak to się, to był początek tego, co się później zaczęło dziać. W czterdziestym drugim roku, tak jak mówię, w czerwcu, była likwidacja getta, to Kaganów z matką Inką już nie było, bo byli u tych Polaków. Nasilała się działalność UPA i akcje. Najpierw to była tylko bardzo dokładnie prowadzona czystka etniczna, a później no to wiadomo, jak to się wszystko

rozwijało. Jaki rozmiar przybierało. I resztki, w tym czasie ostatni Polacy, którzy byli, mieszkali, nie mieszkali w zorganizowanych ośrodkach obrony, no musieli uciekać. Nie było innego wyjścia, jeżeli chcieli przeżyć. I tu rozegrała się druga tragedia w życiu tych Kaganów. Dlatego że Polacy musieli, ta rodzina polska, musiała uciekać. I dla Polaków jedynym ratunkiem był Radziwiłłów obsadzony mocno przez Niemców. I jeszcze były jednostki wojska, Węgrzy, też u nas tam byli, bo to dawało gwarancję, że UPA tam nie wejdzie. Ale Kaganowie, młodzi rodzice, nie mogli wracać do Radziwiłłowa, bo oni pochodzili z Radziwiłłowa, więc byli dobrze znani. Czyli dla nich powrót do Radziwiłłowa to był po prostu, dobrowolne oddanie się w ręce Niemców i wiadomo, jaki koniec. Więc musiała być, bo na pewno musiała być, ale o tym już nikt nie wie, decydująca rozmowa, co robić. I zapadła decyzja, bo zaraz powiem, dlaczego tak mówię. Zapadła decyzja, że Kaganowie, rodzice, dziecko zostanie u tych ludzi, Polaków, a rodzice pójdą szukać innego schronienia. Mama w tym liście, który napisała do Inki, bardzo ostro osądziła tę polską rodzinę, bo powiedziała, że napisała dokładnie, że wypędzili rodziców, a dziecko zatrzymali. Ale tak jak w tej chwili dokładnie wiadomo, jak to się wszystko, ta sytuacja rozwijała, to nie to, że wypędzili, tylko po prostu nie było innego wyjścia. Tylko oni musieli, rodzice musieli szukać schronienia w innym miejscu, a podjęli się przechowywać to dziecko. I rzeczywiście tak się stało. Z takich, tej poczty pantoflowej, wiadomo, że oni znaleźli, rodzice znaleźli schronienie u gospodarza, również Polaka. Jakieś większe gospodarstwo. Może oni byli jakoś uzbrojeni właściciele, Polacy. W każdym bądź razie zbudowali schron pod jednym z budynków gospodarczych. I podobno przechowywali kilkunastu Żydów. I prawdopodobnie, rodzice Inki tam znaleźli to schronienie. Ale koniec był taki, że UPA, banderowcy napadli na to gospodarstwo, swoim sposobem otoczyli dom, budynki gospodarcze podpálili, rodzinę polską zamordowali, a Żydzi byli w schronie pod budynkiem, bo żadnych innych wiadomości, żadne inne wiadomości o tym, co się tam działo, jak się działo, nie dochodziły już do tego. Czyli została ta polska rodzina z tym żydowskim dzieckiem. Dziewięcioletni... Dziewięć ona już miała, miała już przeszło półtora roku, dziecko. Ale oni się bali, no wiadomo. Za przechowanie Żyda była kara śmierci. Więc oni chowali to dziecko. I jak, wyjeżdżając, jechali do Radziwiłłowa, nie wiedzieli, gdzie będą mieszkać, bo jeszcze nie mieli nic upatrzonego, ani omówionego. I to dziecko, a oni wyjeżdżali w lutym ze swojego gospodarstwa. Dziecko w kołysce zostało w tym domu, a oni pojechali ze swoją rodziną do Radziwiłłowa, znaleźć mieszkanie, gdzie mogliby zapewnić schronienie również temu dziecku. Po trzech dniach znaleźli, znaczy mieszkanie znaleźli od razu, ale dopiero po trzech dniach wrócił ten pan, ojciec rodziny i zabrał ciągle żywe dziecko, a ono było przez te trzy dni, w tym nieopalanym domu, dwuletnie dziecko. Jeszcze nie miała dwóch lat. I znaleźli takie mieszkanie, pożydowskie mieszkanie, które miało w kuchni, na parterze, obok kuchni, palenisko i małe, powiedzmy, takiej wielkości jak to krzesło, trochę wyższe, drzwiczki i widocznie to był schowek na opał. I oni wstawili, tę kołyskę z tym dzieckiem wstawili, schowali w tym schowku, w ciemności. No i zaczęło się. To wszystko było, działo się w lutym, a my, nasza rodzina, musieliśmy, już nie było innego wyjścia, rzucić ten swój dom, zostawić te cztery hektary i uciekać do, również do Radziwiłłowa. Z tym że stało się to, dwa takie fakty zmusiły rodziców, wtedy już w domu w ogóle nie nocowaliśmy, zawsze był taki schron w stodole zbudowany, ojciec budował, gdzie my troje, dzieci, spaliśmy, a filozofia polegała na tym, że trzeba było szybko zasnąć. Dlatego że jak człowiek się zbudzi, staje przed jakąś groźną sytuacją, to nie ma innego wyjścia, ale najgorsze jest oczekiwanie na tę sytuację. No więc trzeba było szybko zasypiać. Oczywiście to dzieci tylko potrafiły stosować taką taktykę. W każdym bądź razie była noc niespokojna dlatego, że w sąsiednim domu, oddalonym może o pół kilometra, powiedzmy, od tego naszego domu, gdzie mieszkaliśmy. Noc była niespokojna, krzyki, hałasy, coś się działo. Rodzice doczekali rana i zawsze tam się działo w ten sposób, że to co się miało dziać i działo, to się działo w nocy. A później następowała cisza. Tak że gdyby ktoś

pojechał, przyjechał do danej miejscowości rano, w dzień, no to spokojna wieś, spokojne życie. To wszystko co straszne, to działo się w nocy. Więc ojciec poszedł, rano poszedł do tego sąsiedniego gospodarstwa i tam mieszkał Polak, gajowy, z żoną Ukrainką. Obydwoje zamordowani i wrzuceni do studni. Dom niepodpalony był, tylko oni zamordowani. I prawie tego samego dnia czy następnego, w nocy zbudziło się, zbudziliśmy się, że jest widok, tak była widoczna ogromna łuna w kierunku wsi Drańcza. To w internecie też jest dokładnie opisane, ten, tę historię, tej Drańczy. Bo była Drańcza-polska i Drańcza-ruska. Dwie wioski, sąsiadujące ze sobą, współpracujące do mnie, rodziny pomieszane, ale właśnie pewnego dnia Drańcza-ruska, razem z oddziałem UPA napadła na Drańczę-polską. Jest dokładny opis tej historii. I jedna straszna tragedia, cała wieś spalona, pomordowani ludzie. No więc już nie było wyjścia, wyjechaliśmy do Radziwiłłowa, do miasteczka. Też nie wiedząc, gdzie będziemy mieszkać. Ale dzień wcześniej mama rozmawiała i stało się tak, bo spotkała się z nauczycielami, z nauczycielem on był, obydwójce byli nauczycielami w szkole polskiej i wyjeżdżali do Brodów, a Brody były, miała, to było dziesięć kilometrów od Radziwiłłowa i tam już była GG, Generalna Gubernia. Więc wyjeżdżali właśnie do Generalnej Guberni. I mieszkanie, i swoje to mieszkanie nam przekazali. No więc my zamieszkaliśmy w tym mieszkaniu, wyjeżdżając ze swojego domu na wsi. I stało się tak, że w tym, w domu, gdzie my zamieszkaliśmy, podwórko i sąsiedni dom, nawet bez rozgraniczenia płotem, nie było żadnego rozgraniczenia i tam mieszkała Zosia Stramska, moja koleżanka z wioski, gdzie i my tam trochę mieszkaliśmy po wypędzeniu przez Sowieców z naszego domu. I jak tylko tam zamieszkaliśmy, Zosia przybiegła do mamy i mówi: „Proszę pani, oni chowają dziecko”. I zaczęła opowiadać, że jest tam rodzina polska i w ciemnej komórce, przy kuchni mają, jest dziecko chowane. I ona mówi, że no, to nie słyhać, żeby płakało, ale wiem, że jest tak, że tam podrzucam jej kawałek chleba, temu dziecku. Jak nikogo nie ma, to rzucam kawałek chleba czy ugotowany kartofel, bo w strasznym stanie jest. Jak otworzy drzwiczki, to widzę, co się tam dzieje. Powiedziała, że ona jak upatrzy taką chwilę, że w domu gospodarzy nie będzie, i Niemców nie będzie, bo często tam przychodzili, ponieważ tam była dorastająca córka i miała, utrzymywali takie towarzyskie kontakty, otrzymywali. I ona przyszła do nas i powiedziała, że może mama iść i zobaczyć to dziecko, mama poszła. Wróciła stamtąd chora, bo powiedziała, że no Zosia otworzyła te drzwi i mama mówi, że usłyszała, ale to mamie się pewnie tylko wydawało już wrażenie, bo ona nie umiała mówić, Inka, że to dziecko zawołało: „Mama!”. No to jest, to już, ale to już był dosłownie trupek. Bo tak, no to nie chcę opisywać, no w strasznym stanie. Bez pielęgnowania, bez niczego, w tej kołysce była jakaś tam słoma, coś tam, jakiś tam zmierzwiony kocyk i to dwuletnie dziecko. Ona jeszcze nie miała dwóch lat i tam tkwiła. I to, czyli od listopada do połowy lipca, bo my ją wtedy wzięliśmy, ale ona już była, dosłownie już, no była pół trupkiem. Ale no dziecko widocznie z natury było zdrowe i wola życia. Ona niczego nie rozumiała przecież, jeszcze. A pani z trójką swoich dorastających dzieci, już wyjechała do Brodów, a tutaj został, z tym dzieckiem, głowa rodziny, ojciec, który wstąpił do policji, którą Niemcy organizowali wtedy, kiedy Ukraińcy poszli do UPA. I wtedy została zorganizowana milicja z Polaków. Używana oczywiście do załatwiania jątrzących spraw na wsiach. I mama, to znaczy, było w ten sposób, że jak mama opowiedziała ojcu, co widziała i jaka jest sytuacja, no więc oczywiście narada, no co robić, co tego. Innego wyjścia nie było, bo świadomość, że dziecko umiera z głodu, więc no lepsza śmierć. Więc, ale powiedzieć, że jest tam dziecko żydowskie, komuś? No to, no wiadomo, jaka historia. Więc ojciec przedstawił, zawołał nas troje, mama, i ojciec powiedział, jaka jest sytuacja, że co nam grozi, jeżeli pomożemy temu dziecku i zabierzemy do siebie, i co mamy zrobić? Głosy młodzieży były takie, no zabrać, zabrać ją. I wtedy ojciec, jak usłuchał opinii swoich dzieci, powiedział, że będzie to, co Bóg da. Dziecko trzeba zabrać do nas. I mama wtedy poszła na posterunek policji, żeby spotkać się z tym ojcem. I powiedziała, że wie, że on ma to dziecko, że już nie ma żony i nie ma kto pilnować tego

dziecka. I że rodzice chcą wziąć do siebie. On tylko zapytał: „Czy pani wie, że nikt nie może wiedzieć o tym dziecku?”. Mama powiedziała, że wie, ale to już jest nasza odpowiedzialność, niech wyda to dziecko. No i mama wróciła do domu, kazała nam rozpaść ogień, grzać wodę, a sama wzięła jakiś koc, a on czekał już w domu i wyniósł to dziecko. Widzieliśmy tę kołyskę w strasznym stanie. To już nie ma co opisywać. Ale rzecz w tym, że to dziecko było tak ubrudzone we własne odchody, że w ogóle nie było wiadomo, jak ono wygląda, jakie rysy, czy semickie, niesemickie. Nic nie było wiadomo. Zawinęła mama w koc i przyniosła do domu. Już woda nagrzana była, to prosto włożyła ją do wanienki i zaczęła ją myć jakoś, żeby doprowadzić do... I pamiętam też ten moment, a wtedy w naszym mieszkaniu już było zarekwirowane pokój i u nas zakwaterowali dwóch oficerów niemieckich. Bo to już było całe miasto, nasycone było do maksimum wojskami, bo to już zaczęło się, front na wschodzie zbliżał się. Tak że było pełno wojska. I tych dwóch Niemców u nas w mieszkaniu. I pamiętam, jak mama wyjęła ją już z tej wody, dwa razy zmienianej, posadziła ją, na stole położyła ręcznik, posadziła ją na stole i ona była dosłownie, no tak chudego... Jako dziecko musiała być tłuściutka. Ale tak potwornego, właściwie trupka, to ja nie widziałam, bo skóra na rączkach, na brzuszku, wszędzie, to zwisała wzdłuż, bo pusta była. To wszystko, wisała ta skóra, ten kościec obciągnięty tą skórą. Okazało się, że ma jasne włosy, tak jak, dosłownie jak len, kręcone i ogromne, niebieskie oczy. Bo ta buzia wychudzona i tylko te ogromne, wychudzone, ogromne, niebieskie oczy. No i mama dała jej wtedy kubek, trochę mleka, więcej wody, żeby napiła się, bo bała, że się zachłystnie. Rączki to miała dosłownie tak jak kurze pazury, takie same kosteczki i tego. Jak złapała ten kubek, to mama nie mogła oderwać od buzi jej, bo nie puszczała. Dostała kawałek chleba, bez skórki, to wzięła w dwie rączki, przyciągnęła do buzi i nie oderwała, dopóki miała kawałek tego chleba. Później wyprostowała dłonie i autentycznie, języczkiem wybierała wszystkie okruszki, spuściła ręce i znowu jak ten trupek, słupek taki, wpatrywała się w nas. Do mamy, od razu przylgnęła tak, że mama nie mogła jej ani na chwilę spuścić z rąk i oderwać od siebie, bo ona kurczowo, jakby wrosła. No i tu przyznam, że rodzice przyjęli zupełnie inną taktykę. Przede wszystkim od razu poszła wiadomość, ktoś tam przyszedł, coś. No bo raptem u nas zjawilo się małe dziecko. Powiedzieli, że to jest dziecko naszych kuzynów, rodzice zostali zamordowali przez UPA, przez banderowców, a dziecko ocalało i to jest z naszej rodziny. I mama od razu z nią, nie chowali jej. Od razu wzięła ją na ręce, z resztą nie mogła jej spuścić ani na chwilę. I wyszła z nią na ulicę, w biały dzień. Tylko na całe szczęście, jej uroda to była, no uroda słowiańska. W niczym absolutnie nie przypominała urody semickiej. No i to już odetchnęliśmy. I tak potem, tak się zaczęło. No, nie powiem, dziecko zaczęło przez pierwszy okres, z dwa miesiące to było, to były bardzo paskudne dlatego, że jak ona, mama zaczęła ją karmić przecieranymi, wszystkie warzywa gotowane, przecierane i karmiła ją tymi przecieranymi, tymi. No i zaczęła się przemiana materii, to wiadomo. Wrzody, jakieś tam wysypki i tak dalej, żołądkowe sprawy. To było, to przejście, to było bardzo ciężkie. Ona szybko dochodziła, dziecko zdrowe było, szybko dochodziła do siebie, poprawiała się bardzo szybko. Pamiętam, jak przy nas zaczęła dopiero chodzić, u nas zaczęła dopiero chodzić, u nas pierwsze, nie. Mówiła, znaczy, jak zabraliśmy ją, to ona mówiła tylko takim jakimś dziwnie, grubym głosem: „Tak, ne” i krzyczała: „Boi”. Tylko tyle umiała. Ale potem zaczęła szybko dochodzić do siebie, poprawiać się, no to już była, nie powiem, w rodzinie to ona stała się taką małą maskotką. Dlatego że ona nic nie rozumiała, a już nauczyła się śmiać i cieszyć, i bawić się. No więc, a sytuacja wtedy była taka, że my wszyscy przy swoich łózkach mieliśmy ustawione takie miski z suchym piaskiem. I mieliśmy przekazane, że w razie czego, to wiadomo, w razie czego, sypać piaskiem w oczy. No i jeszcze, ponieważ ojciec starał się utrzymać w domu taką atmosferę, no opanowania, nie trwogi, opanowania. Sytuacja jest taka, jaka jest. Często przypominało jakieś tam scenki z „Ogniem i mieczem”. I tego, Kiemlicza, i Kosmy, i Damiana. Więc z tej okazji mój

brat, nie wiem, jakim cudem boskim, miał wtedy trzynaście lat gdzieś, gdzieś znalazł czy dostał od kogoś, jakąś szablę, więc on miał szablę koło łóżka. No takie wie pan, tego typu historie i tak to. A to dziecko nic nie wiedziało, nic nie rozumiało, tylko zaczęło radośnie śmiać się i radośnie przychodzić do życia, wracać do życia. No i tak to było. Była ona u nas, u nas była, nie była ochrzczona. Tylko ksiądz wydał jej metrykę. Tylko ksiądz wydał jej metrykę urodzenia, bo jak my ją zabieraliśmy, od tego policjanta, to on powiedział, że ona się nazywa Sabina Kagan i urodzona jest 1 sierpnia, tyle tylko wiedzieliśmy. I ksiądz dał metrykę jej urodzenia i rodzice nie chrzcili jej. Została ochrzczona, ale dopiero już jako Irena Roztropowiczówna, w Nidzicy, jako repatrianci przyjechaliśmy, wylądowaliśmy w Nidzicy. A tak, na naszej karcie repatriacyjnej ona figurowała jako Irena Roztropowicz. I tak się skończyło, ta część jej życia. Zaczęła chodzić do szkoły w Nidzicy, w czterdziestym ósmym roku, do pierwszej klasy. Tak że literki, zachował się jej pierwszy zeszyt, to jej oddałam, jak spotkaliśmy się. I zaraz po tym zaczęli przyjeżdżać ci wysłannicy, agenci, tego, tej organizacji żydowskiej, która wyszukiwała żydowskie dzieci, uratowane w domach polskich, kościołach, zakonach, rodzinach. Rodzice, oczywiście najpierw nie chcieli nawet o tym słyszeć, ale oni zaczęli systematycznie przyjeżdżać, raz w tygodniu, czy jak tam, namawiać, tłumaczyć, że to jest jedyny sposób, że ona będzie miała zapewnioną i życie, i opiekę, i wykształcenie. A my nic nie mieliśmy, bo przyjechaliśmy właściwie z niczym, z tego Wołynia. I tak się stało, że rodzice zdecydowali się ją oddać. A jeszcze, i dopiero o tym skąd ten, ta organizacja żydowska, skąd wiedzieli, że my mamy żydowskie dziecko, to ja się dowiedziałam, proszę pana, dopiero w 2000 roku, jak poszliśmy z Inką do Instytutu Żydowskiego na Tłomackie, na tyłach Narodowego Banku, Tłomackie, tam jest Instytut, Żydowski Instytut Historyczny. Jak pierwszy raz tam poszłam, byłam, no powiedziałabym, pod dużym wrażeniem. Dlatego że na parterze, ja nie wiem, czy teraz, bo potem już tam nie byłam, na parterze duży taki hol i na całą ścianę, no taka wielkość mapy jak ta moja ściana, dawna mapa Polski, z wszystkimi miastami zaznaczonymi, gdzie tam były większe skupiska Żydów i tak dalej. Przyjęli nas, bo to już ja tam z tą Inką, u nich byliśmy w 2000 roku. I ta pani bardzo, dopiero wtedy, dużo dowiedziałam się o Radziwiłłowie, bo ja nawet mieszkając tam i chodząc do szkoły, nie wiedziałam, że na przykład Radziwiłłów wtedy miał telefon. To nie było dostępne dla normalnych ludzi, to nie był dostępny, a był telefon. To znaczy było, posterunek policji, terenowe, połączenie z terenowymi placówkami policji, bogaci Żydzi, kilku bogatych Żydów, którzy prowadzili eksport i tam inne sprawy. Taki jeden, który prawdopodobnie był dziadkiem Inki, ale to jeszcze jest inna sprawa, żeby nie zaciemniać obrazu. Więc dużo szczegółów i między innymi ta pani, jak pytała, jakim sposobem wiedzieliśmy, ta organizacja żydowska dowiedziała się, że Inka tam jest, przyniosła, poszła do archiwum i przyniosła takie zaświadczenie, o, taki świstek papieru. Natychmiast rozpoznałam charakter mojej mamy.